

Jan Jurchykowski--wspomnienia

[**Moje** uwagi RK]

[pisownia i interpunkcja oryginalna RK]

Miasteczko sławne na całym świecie z trudności wypowiedziania --"w Szczebreszynie chrząszcz brzmi w trzcinie".

Najwyższym punktem okolicy jest miejsce wiecznego spoczynku obywateli z kościółkiem św. Leonarda. Dojść do tego miejsca można jedynie drogami biegnącymi wązozami lessowymi. W czasie rozbiorów Polski, miasteczko było pod zaborem rosyjskim, więc mieszkańcy jego to Polacy, Rosjanie i Żydzi. Różne są też budowle kultu religijnego: dwa kościoły rzymsko-katolickie, cerkiew prawosławna i bożnica. Obok Cerkwi, mogiła popa Tracza z czarnym marmurowym pomnikiem w żelaznym ogrodzeniu. Żydzi swych zmarłych chowali na kirkucie, mieszczącym się na małym wzniesieniu przy ul. Cmentarnej. Po otrzymaniu wolności przez Polskę po pierwszej wojnie światowej, ilość Rosjan zmniejszyła się do tego stopnia, że cerkiew stała się nieczynna. Ksiądz Cieśliski, proboszcz kościoła parafialnego, kazał dzwonnice przy cerkwi rozebrać do fundamentu.



Entrance to Shebreshin

Wjazd do Szczebreszyna od strony Brodów, i most na rzece Wieprz--koniec XIX w. Droga „gruntowa”. Po lewej stronie u góry kościół pw. św. Katarzyny, kiedyś klasztorny, i przylegający doń, w dawnych zabudowaniach poklasztornych, szpital. W oddali na wzgórzu synagoga (przy drzewie) i czynna w ówczesnym okresie cerkiew.

Z cerkwi zdjęto dach, a popa wraz z pomnikiem przeniesiono na cmentarz parafialny. Ktoś jednak dopatrzył się nieścistości i dalszą rozbiórkę

cerkwi wstrzymano. Od nowa zrobiono nowy dach i w miejsce blachy ocynkowanej dano papę. Różne były na ten temat wypowiedzi, ale najbardziej niekorzystne pod adresem księdza proboszcza.

Z budowli znaczących, to w dawnym kompleksie Szkół Zamojskich znajdowały się koszary kozackie. Po wojnie przebudowane mieściły Męskie Seminarium Nauczycielskie, a od roku 1936 do 1939 Gimnazjum i Liceum, internat i mieszkania nauczycieli. W dawnym klasztorze franciszkanów od roku 1812 mieścił się szpital. Był w Szczebrzeszynie także sąd. W Rynku stoi ratusz-zbudowany w kształcie czworokąta. Budynek wschodni i zachodni jednopiętrowe. Budynek południowy i północny – parterowe posiadały bramy wjazdowe. W budynku północnym były zlokalizowane pomieszczenia gospodarcze. Budynek wschodni ze względu na pochyłość terenu był na podwyższonym fundamencie. Wejście do niego umożliwiał na całej długości pomost z bali i pięciu stopniowe dębowe schody.

Pomieszczenia na parterze ratusza od strony ul. Zamojskiej tzn. wschodniej wynajęte były na sklepy, na piętrze znajdował się Urząd Miejski. Od strony przeciwnej tzn. zachodniej budynek też jednopiętrowy. Tu przed wojną mieścił się na parterze klub, a na piętrze posterunek Policji Państwowej. Podczas okupacji całą zachodnią stronę zajmowała żandarmeria niemiecka i dawna policja państwowa zwana teraz granatową. W południowej znajdował się sklep Kality i wytwórnia lin i sznurów konopnych.

Ponieważ zabór rosyjski zabraniał nowego budownictwa wokół rynku, to w związku z tym były tu w dużej części budynki stare, drewniane, parterowe z podcieniami. We wszystkich tych budynkach był zlokalizowany żydowski handel i usługi rzemieślnicze.

Miasteczko w wodę pitną zaopatrywane było z pięciu studni głębinowych--wodę ze studni pompowano ręcznie. Ludność ulicy Klasztornej [dzisiaj Klukowskiego RK] w pobliżu Dużego Młyna w wodę zaopatrywała się ze źródła wypływającego z pod „ganu”. Ulice, oprócz Zamojskiej, i rynek miejski w kształcie kwadratu okalający ratusz były nieutwardzone.

Najbardziej atrakcyjnym dniem tygodnia był wtorek. Dzień, w którym odbywał się jarmark. W tym dniu zjeżdżali do miasteczka chłopci. Mało się wtedy używało słowa rolnik. Zjeżdżali też handlarze z całej okolicy. W rynku różni rzemieślnicy i zawody reprezentowały swoje towary. Na specjalnych drewnianych stojakach wisiała uszyta różna odzież, którą prezentowali krawcy. Szewcy zachwalali wykonane przez siebie buty. Z przyjezdnych handlarzy, to szewcy z Tyszowiec przywozili buty z cholewami tak zwane tyszowiaki. Były to buty na zimę. Wkładało się do nich nogi owinięte słomę, tak że największy mróz nogom nie zaszkodził. Przy takim stoisku był zaraz kowal, który specjalnymi podkówkami te buty okuwał.

Sprzedawano też kozuchy z baraniej skóry o długim włosie męskie i damskie krótkowłose, haftowane we wzory różnokolorowymi nićmi. Kozuchy męskie posiadały obszerne kołnierze. Takie kozuchy kupowali ludzie z wiosek. Posiadanie takiego kozucha i butów świadczyło o zamożności gospodarza. Nawet mówiło się: bogata panna bo na wiano ma kozuch, poduszkę z piór i puchową pierzynę.

Na targowni przy ulicy Frampolskiej handlowano: końmi, świniami, owocami i zbożem. Przy tych wszystkich transakcjach handlowych zawzięcie klepano się w dłonie i w ten sposób ustalano ostateczną cenę towaru. [sprzedający i kupujący, targując się, za każdym razem wraz z propozycją ceny

uderzał w nadstawioną dłoń kontrahenta—na koniec podawano sobie rękę, to oznaczało że transakcja została zawarta **RK**

Należy zaznaczyć, że świnie i krowy sprzedawano na oko a nie na wagę, a zboże na miarki. Ukoronowaniem handlowej transakcji był LITKUP. Życzono sobie, aby nowo zakupiony towar z pożytkiem służył właścicielowi, przepijając gęsto wódką. Taki sam proceder stosowano przy handlu końmi, z tym że konie przepędzano, zakładano do wozu, hamując jego koła. I zaglądając koniom w zęby, czy mają już bardzo starte. [Tak określano wiek konia **RK**]

Tak było z rana--koło południa handlujący zjeżdżali do miasta i ustawiali się wokół Ratusza. Gdy zabrakło miejsca ustawiano się po wszystkich ulicach wokół Ratusza. Tyle było furmanek konnych, że z trudnością chodziło się pieszo ulicami. Koń który gryzł lub kopał, miał przywiązany do łba wiecheć słomy i to był znak że obok niego trzeba ostrożnie przechodzić. Utrudniony był także przejazd ulicami. Z tego tytułu były kłótnie a nawet bójkі. Rozsiadano się na furmankach i z małych buteleczek rozlewano wódkę, wyjmowano jedzenie, Śmiechom i żartom nie było końca. W czasie Wielkiego Postu do wódki zamiast kielbasy jedzono smażone na oleju śledzie które wspaniale przyrządzała Żydówka Hana. Miało to swoisty urok.



Targ na rynku w Szczepieszynie. Widać dwie tzw. budki stojące na rogach rynku i kościoła, w których sprzedawano lody, wodę sodową itp. Z prawej, przed kamienicami bieda-sklepiki.

Ten jarmarczny szum trwał do późnej nocy, nim się to wszystko rozjechało. Był to dzień spotkań sąsiadów, znajomych, a czeto i rodzin. Z tego

powodu, w tym dniu dużo było pijaków. W swoim żywiole byli kieszonkowcy i różnego typu złodzieje. Zachęcano do gry w karty czarna przegrywa, czerwona wygrywa. W cukierki para nie para, w trzy napastrki z czarną kulką. Temu wszystkiemu towarzyszyła katarynka i na niej siedząca papuga lub morska świnka ciągnąca losy.

Korzystając z tak dużego zjazdu ludzi, Magistrat przekazywał różne informacje. Uderzano w duży bęben, co oznaczało: zbiórka ludzi wokół niego. Wtedy sekretarz Magistratu odczytywał różne zarządzenia i wiadomości. Trzeba wziąć pod uwagę że prawie połowa ludności nie umiała czytać i pisać. Pisanie listów i czytanie gazet było rzadkością. Pisaniem listów trudniły się specjalne kobiety, które za taką usługę brały jajka, ser, śmietanę. Radio było luksusem. W całym mieście było kilka radioodbiorników z głośnikiem i kilka na słuchawki kryształkowe. Może to i było dobre--naród miał lekką głowę i był pozbawiony stresów wielkiego świata...

Na drugi dzień rankiem chłopci zbierali nawóz, świnie z prosiętami raczyły się resztkami rozrzuconej żywności. Jeszcze minął cały następny dzień nim wszystko doszło do normy.

Były też i ciemne strony tego okresu. W święta przy kościele, w dzień jarmarczny przy hali były długie szeregi ludzi proszących o jałmużnę. Naród ubogi--tak zwane dziady. Chociaż i między nimi było dużo kombinatorów. Jedną taką zawodową dziadówkę za cmentarzem napadli bandyci, zabierając jej jedenaście tysięcy złotych srebrem, bo takie były wtedy monety. Dla orientacji podam, że morga ziemi w tym czasie kosztowała pięćset złotych. [Rzecz niemożliwa--byłaby to 1.100 monet dziesięciozłotowych o wadze kilkudziesięciu kilogramów. Takimi sensacjami ekscytowali się mieszkańcy-- lokalna plotka. Dzisiaj dzięki kolosalnemu rozrostowi mas mediów huczała by o tym cała Polska. **RK**]

Rozboje za miastem były częstym zjawiskiem. Trafiały się też morderstwa. Zabito nawet listonosza, który odbierał pocztę z wagonu PKP na stacji w Szczepieszynie. Był to okres kryzysowy. Panowało ogromne bezrobocie nie tylko w Szczepieszynie. Magistrat raz na tydzień wypłacał tym ludziom jakieś pieniądze tzw. zapomogi, ale to wszystko były małe kwoty, nie wystarczające na przeżycie rodziny. Nie było przemysłu. Obliczano, że na wsi polskiej bezrobotnych było około 6 milionów--ludzi żyjących z małych gospodarstw, lub bezrolnych.

Cukrownia Klemensów, którą wybudował Ordynat Zamojski, zatrudniała przez cały rok niezbyt dużo ludzi, trochę więcej w kampanii. Ci co stale pracowali, tak zwane KUMOTRY, zarabiali nieźle. Byli to dobrzy fachowcy. Oni decydowali jakich ludzi przyjąć na kampanię cukrownicza. Trzeba się było nisko kłaniać, aby otrzymać pracę na te półtora miesiąca. Mieszkali oni w osadzie przyfabrycznej tzw. Domkach, w budynkach drewnianych będących własnością Cukrowni. Mieli oni prawo do przetrzymywania przez cały rok w fabrycznej oborze dwie krowy. Pastuchów do krów opłacała Cukrownia. To był ich przywilej. Na terenie cukrowni była czteroklasowa szkoła powszechna. Do wyższych klas dzieci pracowników były dowożone brekiem do Szczepieszyna. Cukrownia miała własną orkiestrę, mundury i dyrygenta. Święta państwowe obchodzone były z wielką paradą.

Charakterystycznym było to, że Cukrownia i budynki towarzyszące były wybudowane z białego brodzkowego kamienia--opoki. ociosanego na jeden

wymiar. Tak samo wybudowany był młyn wodny napędzany turbiną w Szczepieszynie.

Obok Cukrowni była cegielnia z murowanym bardzo wysokim kominem, zatrudniająca kilkanaście osób. Dalej był folwark Michalów jako „stołowy” dla obsługi Pałac Zamoyskich i otaczającego go parku. Hrabina prowadziła tam dla biednych i bezrobotnych kuchnię głodową.

Z południowej strony Szczepieszyna w odległości około trzech kilometrów, koło stacji PKP Szczepieszyn, była Fabryka Kalafonii i Terpentyny. Fabrykę tą pobudował inżynier chemik Aleksander Waligóra—stąd nazwa fabryki: ALWA. Waligóra przyjechał z Krystynopola k. Sokala, gdzie prowadził taką samą fabryczkę. Z stamtąd przywiózł sobie pracowników dla obsadzenia ważniejszych stanowisk i rozruchu fabryki. Pracowników tych potocznie w Szczepieszynie nazywano Galicjakami. Inżynier Waligóra był pierwszym człowiekiem, który w niedzielę przyjechał z całą rodziną do kościoła własnym samochodem. Były też jeszcze dwa motocykle m-ki Sokoły- własność pracowników Cukrowni.

Nadszedł rok 1939. Wiosną zazieleniły się pola i drzewa. Nastąpiła zmiana na stanowisku burmistrza. Został nim p. Franczak. [Trochę wcześniej—Jurczykowskiego zawiodła pamięć. RK] Zaczęły się nowe porządki. Naprawiano zgodnie z zarządzeniem płyty, bielono kominy na budynkach, zwożono materiał i rozpoczęto brukowanie placu wokół Ratusza. Był to twardy kamień brukarski. W rynku, wzdłuż ulicy Zamojskiej wykonano dwa trawniki z rabatami z róż, przy których postawiono żelazne ławki i kosze na śmiecie.

Mimo tych pozytywnych zmian, starsi ludzie zaczęli dostrzegać jakieś niepokojące zjawiska na niebie, anomalie w przyrodzie. Wyciągano różne pisma prorocze, przepowiednie Michaldy, porównywano, tłumaczono na swój sposób. Wzrastał strach i podniecenie w Narodzie. Aż w niedzielę, po sumie, odezwał się koło Ratusza miejski bęben. Naród w okolicy był pobożny, w kościele było pełno wierzących, po nabożeństwie wszyscy szli pod Ratusz na wezwanie.

Na schodach Ratusza stał Burmistrz, witając zebranych i rozpoczął wiec. Hitler chce korytarz, to znaczy chce odsunąć Polskę od morza. My na to nie pozwolimy. Jesteśmy silni, zvarci i gotowi. Nie pozwolimy sobie odebrać nawet piędzi ziemi. Zrobił się krzyk precz z Hitlerem. Podnoszono zaciśnięte pięści. Zobowiązano się zrobić zbiórkę pieniędzy na zakup: karabinów maszynowych, czołgów, samolotów, na dozbrojenie armii. Postanowiono zbierać złom dla przemysłu zbrojeniowego. Na zakończenie odśpiewano hymn Narodowy i ludzie bojowo nastawieni rozeszli się do domów.

W tym roku Święto Trzeciego Maja obchodzone było bardzo uroczyście. W pochodzie brały udział szkoła Powszechna, Gimnazjum, organizacje: Sokół, Strzelecka, Rzemiosło i Kupcy. Pochód po Mszy św. zatrzymał się koło Ratusza, gdzie wysłuchano okolicznościowo-politycznego przemówienia jednego z nauczycieli pana Bohuna, następnie skierował się na plac obok boiska sportowego Sokół. Tam Burmistrz wmurował kamień węgielny pod budowę hali sportowej dla organizacji Sokół. W tym pochodzie przygrywała orkiestra Cukrowni Klemensów.

Ostatnim świętem państwowym w wolnej ojczyźnie było święto Morza. Jak zawsze w niedzielę i różne święta kościelne i państwowe, młodzież szkół podstawowych i gimnazjum szła w zwartych szeregach w mundurkach do kościoła. W Cukrowni wykonano model okrętu wojennego, który przemieszczał

się na kołach. Załogę okrętu tworzyły dzieci w marynarskich mundurkach. Podczas wiecu otwarcie zaczęto mówić o wojnie z Niemcami. Na rynku spalono manekin Hitlera.

W połowie lipca nastąpił pobór rezerwistów do wojska. Rozpoczęły się na naszych terenach manewry wojskowe jednostek stacjonujących w Zamościu. Cieszyła ta Polska siła wojskowa. Przez miasto przechodziły różne oddziały wojskowe. Sprzęt był całkiem nowy. Wszystkie broń oksydowana. Pokrowce, kabury, siodła, kamasze, saperki z żółtej nowej skóry. Wszystko na medal. Atmosfera wśród ludzi była wspaniała. W tych manewrach brała udział rezerwa naszego miasta, jak również kilku naszych chłopców było w służbie czynnej. Witano ich radośnie kwiatami. Mimo tajemnicy wojskowej, rozeszła się wiadomość, że manewry zostały skrócone z powodu pogarszającej się sytuacji politycznej. Sąsiada syn Olek wpadł się pożegnać z rodziną, gdyż ze swoją radiostacją wyjeżdżał na zachodnią granicę.

Z początkiem sierpnia zmobilizowani zostali oficerowie i podoficerowie rezerwy. Wszyscy chodzili w mundurach żegnając znajomych i rodziny. Z ulicy Trębackiej dwóch braci Złomańców szło do wojska z własnymi końmi. Szpital zaczął organizować szkolenie młodych panienek na sanitariuszki. Zaczęto kopać schrony przeciw-lotnicze.

W mieście pojawiły się wojskowe patrole. Ich zadaniem było pilnowanie w mieście porządku społecznego i wylapywanie niemieckich szpiegów. Patrole na karabinach miały pozakładane bagnety. Za cmentarzem był okopany karabin maszynowy, który miał bronić miasto przed atakami samolotów niemieckich. W połowie sierpnia emocje wojenne opadły. Wszystko było do wojny przygotowane, a tu zapadła cisza. Do Zamościa przyjechał jakiś minister [Rydz-Śmigły, ale było to kilka lat wcześniej—patrz wspomnienia dr Klukowskiego RK]. W defiladzie przed nim przemaszerował mały oddział wojska no i dzieci ze szkół. Nawet ze Szczepieszyna starsze klasy mimo wakacji pojechały na to spotkanie. Społeczeństwo z rozczarowaniem przyjmowało polityczny przebieg toczących się spraw. Byliśmy tak bojowo nastawieni i pewni zwycięstwa, a tu cisza.

Nadszedł dzień 1 września 1939 roku. Z samego rana dał o sobie znać miejski bęben. Urzędnik z Magistratu garbaty Romcio Niedźwiecki ogłosił, że Polska bez wypowiedzenia wojny została zaatakowana przez wojska niemieckie.

Zarządzono by na każdej posesji był zgromadzony piach, w pojemnikach woda i sprzęt do szybkiego gaszenia pożarów. Szyby w oknach i oszklonych drzwiach miały być zabezpieczone przez naklejenie krzyżowo papierowych pasów. Miało to chronić przed odpryskami szkła. Straż pożarna pełniła całodobowe dyżury w swojej remizie strażackiej. Z otwartego okna dentysty Sztrajchera słyhać było zapowiedź radiową: Ogłaszam alarm lotniczy dla miasta Warszawy. To była już wojna.